

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadziś,
Jeśli doma nie uradziś.

Rej z Nagłowic.

ROK 1844.

Poznań, dnia 22. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mąd paryżskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Niedosyć jest przyznawać się do zasad postępowych, trzeba je wykonywać — i to w każdej chwili, w każdym stosunku życia. Człowiek prawiący o miłości ludu, a upijający się co chwila, żyjący w zbytkach, postępujący sobie bez godności, nie wykonywa zasad, które mówi że wyznaje, ale jest obłudnikiem, lub próżnym rozumem, chcącym poświecić tém, czego niema. Wielu bardzo jest, którzy niewiedzą nawet, co to jest postęp, na czém się zasadza miłość ludu, a będą się udawać za najzagorzalszych obrońców przekonanych postępowych; tacy ludzie chcą zwykle skorzystać coś z tego szermowania i używania słów szumnych. Jeśli ich spotkasz w winiarni, lub przy kuflu piwa, — jeśli będą niedbale ubrani i nieczyści, iść zawadyacko po ulicy, bądź pewien, że zasad postępowych i szumnych słów chcą użyć dla pokrycia swoich haniebnych nałogów. Ale się bardzo ku temu biorą niezręcznie, — i niestósownego używają płaszczyka do osłonięcia swoich skłonności, bo już to całemu światu wiadomo, że postęp zasadza się na cnocie równie w publicznym jak w prywatnym życiu, że człowiek postępowy i wyznający rzeczywiście zasady postępu, w każdym kroku pamięta o swjej godności, niemoże się więc poniżyć do namiętnej gry w karty, pijaństwa, uczęszczania do winiarni, lub fanfaronady, w zaniedbywaniu ubioru.

Wielu z nieprzyjaciół postępu cieszy się z tego, że są ludzie, którzy mając zawsze szumne słowa na ustach do wygłoszenia swjej miłości postępu, cnoty, ojezyny, żyją nieprzykładnie, że wielu pisze inaczej a żyje inaczej, przytaczają ten fakt z radością, sądząc, że już przezeń zabili wszystkich stronników postępu, ale zapomnieli,

Rok piąty.

że ludzi nie po słowach ani pismach, ale po czynach i życiu poznawać tylko można, że każdy postępowy człowiek poznaje się tylko po życiu enotliwém. Wielu nazywających się chrześcijanami wcale nie po chrześcijańsku żyją! Czyż ztąd mamy brać pochop do wnioskowania, że to jest winą téj wiary, którą oni mówią, że wyznają? i czyż szłusnieby na tę wiarę powstawać można za to?

Jeśli rozważymy tych, którzy walczą przeciw postępowi, poznamy, że to są jedno z trojga, albo ludzie zupełnie zli, — wiedzący, że postępowe zasady są zasadami cnoty, a niechący cnoty, albo ludzie niedołęzni, niemający dosyć siły, aby przezwyciężyć swoje nałogi, przyzwyczajenia, słabości, słowem samolubstwo, i dla tego niechący przyznawać zasad czystej cnoty, oszukujący i podchodzący własne sumienie nawet, byle od złych skłonności nie odstąpić; nakoniec, mogą oni być jeszcze ludźmi zupełnie ograniczonymi, walczącymi nie wiedząc przeciw czemu walczą. Ci są najniewinniejsi, ale równie godni politowania, jak owi niedołęzni. Złych zupełnie jest najmniej, a mniej zli daleko więcej od nich szkodzą w świecie. Nie bez przyczyny pisze Szyller, że co dzień zmniejsza się złych, a zwiększa spis niedołącznych ludzi, jeśli będziemy pilnie każdego postępowanie zapisywać i według tego osądzać. Mimo walki, którą postępowe zasady staczać muszą z tymi, co przeciw nim występują, i z tymi co się pod nie podszywają, a według nich żyć niechcą, zwyciężą one zawsze, bo każda prawda zwycięża. Historia niejest niczém inném, jak wykazaniem, jako zasady postępowe, chociaż przytłaczane wszędzie, zawsze zwyciężały w końcu,

i dla tego to historia jest tak wzniosłą nauką, urabia hart duszy i przynosi pociechę w wielkich utrapieniach, bo człowiek, im bardziej dla społeczeństwa żyje, tém więcej o sobie zapomina i o bólach swoich; im częściej postęp społeczeństwa widzi, tém go więcej pragnie, i więcej nabiera tęgości, do znoszenia przeciwności, których tyle, stawia wszystko rozwijającemu się duchowi.

Stanisław Strawiński,

KONFEDERAT BARSKI.

(Ciąg dalszy.)

7.

Drugiego dnia po owém przysiężeniu w Małejwsi, kilka parokonných wozów, naładowanych zbożem, dojeżdżało do Warszawy o wschodzie słońca. Rzeskie parobczaki powożą, a u każdego czapka na uchu, spojrzenie śmiałe. Obok nich jedzie kilku ludzi w barwie, uzbrojonych we fuzye, a wszystkim przewodniczy młody szlachcic, jak to poznać po przypasanej karabeli. Jednak czeladź i pan głośną i gwarłą rozmowę brat za brat prowadzą. Szlachcic zrównał się z wozem, który zakończył szereg, i śmiejąc się zaczął duży czarny wąs kręcić, a unosząc z barankiem czapki, ukazał podgoloną czuprynę.

— Cóż mówicie, panie Łukaski, rzekł do parobka — pozna mnie panna Tekla?

Ten, choć był jakoś zamyślony, spojrzawszy ku mówiącemu, zaśmiał się głośno:

— Tylko tak wąsów nie kręć, panie Stanisławie, bo urwiesz, a wtedy nietylko Teklusia, ale i Moskałe by cię poznali. — Lecz z tą podgoloną czupryną, dodał wpatrując się w Strawińskiego, dziwnie waść oszpetniał; choć i wąsy odrzucisz, wątpię, czy cię bogdanka od razu pozna.

Widocznie te ostatnie słowa Strawińskiego zmarły, bo uśmiech z ust uleciał i czoło się zasepiło. Nic dziwnego — stęskniony, jechał teraz radosny, że ujrzy kochankę; ziemia, niebo, wszystko w tej chwili było dla niego piękniejsze, bo patrzył przez zasłonę miłości. A na raz myśl, że będzie brzydkim w jej oczach, całą radość skwasila, gdyż miłość indywidualna, to uczucie, gdzie w ukochanym przedmiocie miłujemy siebie, musi zdradzać u najpoważniejszych nawet ludzi, chęć zabłyszczenia wszelkimi powabami w przekonaniu wybranego przedmiotu. Strawiński jechał więc strapiony z ciężarem w sercu, a nikt tego

nie widział — wszyscy wesoło gwarzyli, każdy z parobków cieszył się ze swego przebrania, jak gdyby jechał kuligiem. On się napróżno zmuszał do wesołości — każde słowo, które wymówił, było dla niego istną pokutą, a śmiechy towarzyszków tak przeciwnie nastrojeniu jego duszy, że gniew w nim budziły. Spiał więc konia ostrogami, i mimo żartów i wołania, daleko wszystkich zostawił za sobą. Teraz dopiero odetchnął — zapomniał o straconych półdługich włosach, o swój szpetności, zniknęła przestrożka i był myślą przy kochance, słyszał jej głos i widział spojrzenie, co każdemu słówku wtórowało, — a tą razą wszystko piękniejsze, doskonalsze, bo skąpane w głębi jego ducha. W takich marzeniach dojechał do rogatek miasta, zatrzymał konia czekając za swoimi, a kiedy ci nadjechali, stanął na ich czele. Zapytany od posterunku moskiewskiego: po co jedzie do Warszawy? za całą odpowiedź wskazał wozy zbożem naładowane — a dla czego wiedzie tych zbrojnych ludzi z sobą? odrzekł: iż dla zasłony swojego dobytku przed konfederatami. Komendant bystro się w niego wpatrywał, ale Strawiński był zamyślony i zdawał się niedostrzegać nawet tego spojrzenia, a pierwszy widząc taką obojętność, puścił ich bez żadnej trudności.

Przed wieczorem sprzedawszy zboże, też samą stroną próżne wozy wracały, a przy nich i zbrojni w barwie. Zaraz za nimi nadbiegł też i Strawiński, w towarzystwie jednego parobka, skarząc się przed komendantem, iż mu służący skradł konia, a dla odzyskania musi do jutra w mieście pozostać. Dalej twierdził, iż złodziej uciekał przez okopy, prosił więc o pozwolenie iść się na miejsce przekonać. Komendant przydał mu sierzanta i poszli między wały, a parobek za nimi niosąc delię pana.

Ale kiedy Moskał został o parę kroków, szeptał parobek Strawińskiemu:

— Mnie się zdaje, panie Stanisławie, że te wały na prawo przeskoczą się na koniu jak nic; a raz za nimi, to jakby się Poniatowskiego miało w Częstochowie.

— Bądźcie spokojni, panie Łukaski — tylko z nim wyruszyć, to się nie masz pogoni i czego lękać, bo podłego otaczają tylko nikiemni; nie będzie wśród nich takiego, co by w jego obronie chciał życie narażać.

Sierzant się zbliżył — konfederaci zdawali się pilnie szukać śladu końskich kopyt, a Strawiński dając mu czerwony złoty, utrzymywał: iż złodziej chciał ujechać przez wały, ale nie mogąc, wrócił się do miasta — na co się sierzant zgadzał, ściskając dukata w rękę.

Obadwaj konfederaci już więcej godziny bawia w złotym dworku przy Nalewkach. U Łukaskiego jakaś smętność na twarzy; a kiedy pieścił żonę, siostrę lub dziecko, taki uśmiech osiadał na ustach, jaki u kobiet w łzy się zwykł wylewać.

Strawiński topił wzrok w obliczu kochanki jakoś zadumany, i z uwagą chwycił każde jej poruszenie, każde brzmienie słowa, znać wszystkimi jej wdziękami chciał swą duszę do dna napoić. Nagle ujął jej rękę i mówił z czułością:

— Choć zginę, nie poślubiajcie innego panno Teklo — bo jedyną boleścią, na którąby jeszcze prochy moje zadrzały, byłoby, żeście żoną innego.

Ona wysunęła swoją dłoń z jego, i odrzekła na pół z płaczem:

— Cożem waszmości zawiniła, że mię tak przesładujecie? Ja was zapomnieć? ja poślubić innego?...

— O nie gniewajcie się, przerwał jej błagającym głosem. Wszystko zniosę, ale nigdy myśli, że ukochacie innego. Z waszą miłością pójdę radośnie i do piekła — bo wtedy stałoby mi za niebo.

Te słowa nietylko że nie przeraziły pobożnej kochanki, lecz jej nawet nie oburzyły; owszem podniosła łzawę oczy ku niemu, ale na ustach już był uśmiech przebaczenia i odparła głosem lekkiego wyrzutu:

— Jeżeli wy ochotnie kładziecie życie w obronie ojczyzny, to i ja z myślą o was potrafię żyć za krętą klasztorną, a przez wasz grób nie podam nigdy ręki drugiemu. I łzy puściły jej się po licach, i dodała cichszym głosem: Jeżeli się nie połączymy tu w tym życiu, to w przyszłym...

Strawiński rozrzuwiony, ukląkł przed kochanką, ona podała mu dłonie i pochyliła się ku niemu kibić, niby wierzba nad strumieniem. O cudowną też była w tej postawie dla niego, bo ją podniósł myślą od ziemi ku niebu, a sam jako prosty człowiek został pod jej stopami.

Łukaski już chwilę stał obok kochanków, spoglądając na nich z czułością; w końcu westchnął z głębi serca, i szepnął Strawińskiemu.

— Trzeba im powiedzieć o naszych zamiarach, gdyż chwila rozstania już nie daleka.

Kłęczący zadrzał, i stanął na nogach. Lecz wnet zbudziło się w nim przypomnienie świętości sprawy, której się poślubił, i odrzekł żywo:

— Z całej duszy miłuję pannę Teklę, droższą mi jednak nad nią wolność narodu, boć ją chętnie zostawiam, a idę walczyć w obronie Rzeczypospolitej.

— O! dla tego droższymi jesteście mi, nad życie zawołała Tekla, z zapalem — i choć w oko spoglądała wzrokiem miłości, ale jakaś mężka odwaga jaśniała w jej oczach.

Dowiedziały się teraz pani Łukaska i Tekla o planie uwiezienia króla; nie przstraszyły się niebezpieczeństwem, jakie konfederatom przylét zagrażało, owszem, na lica wybiła radość, gdyż polskie niewiasty, umiały w każdym czasie bez sarkania patrzeć na najdroższych swojemu sercu, kładących życie w obronie swobód. I wnet te dusze, które co tylko były nastrojone na słodką nutę miłości, nienawiścią dla ciemieców zawrzały. Bo już się ukazała owa pierwsza gwiazda na niebie odradzającego się narodu, i serca niewiast zaczęły się opasywać tą wieczną promienną tęczą — miłością ludzkości. A jak łuk przerynający błękit nieba rozciągnął Bóg dla synów Izraela na zapewnienie, iż ziemi powtórnie potop nie zaleje, tak uczucie przenikające dusze kobiet jest zapewnieniem odradzającego się społeczeństwa, bo mąż zaziera w tajniki przyszłości, a niewiasta je przeczuwa.

W pani Łukaskiej niebieskich oczach i delikatnej twarzy, wygrywały wszystkie uczucia jak na instrumencie; to błyszczały łzy wiary i poświęcenia, to zemsta rozpromieniała lica, kiedy mówiła:

— Gdybym ja z szablą chodziła u boku, jak waszmościowie, od dawna nie byłoby Stanisława Augusta....

I zamilkła, gdyż podedrzwiami coś stuknęło. Konfederaci schwycili za pistolety złożone na stole, a pani Łukaska odsunęła rygle, z ostrożnością wejrziała do sieni, a przed nią stał mężczyzna średniego wzrostu i tuszy, w szlacheckim ubraniu. W jego małych szarych oczach głęboko utkwionych migotało przełknięcie, a kością nieregularną twarz zmuszał do układowego uśmiechu, zapytując z pokłonem:

— Czy pan Łukaski jest u siebie?

— Toście wy panie Kuźmo! cóż was tu sprawa? — i powitała przybyłego, i zaprosiła do izby.

On był jakoś zawstydzony, kiedy się witał z konfederatami, i jakającym głosem zapytał:

— Czy to trzeci Listopada jest oznaczonym dniem porwania króla.

Strawińskiego zdziwiło to zapytanie, i przypomniał mu, iż z Małejwsi przy wykonaniu przysięgi obszernie o tym mówili. Kuźma się tłumaczył, że mu się zdawało to później, i dla tego mimo niebezpieczeństw przedarł się do Warszawy, wiedząc, że obadwaj konfederaci pozostali w mieście, żeby się od nich na pewne dowiedzieć.

Gdyby Strawiński był się w niego wpartrywał, i uważał brzmienie głosu, snadnieby dojrzał grę niepewności na twarzy, jakanie w mówieniu, i troskliwość z jaką się starał to wszystko pokrywać. Lecz on choć pomyślał, iż Kuźma nie potrzebnie dostawał się do niego, gdyż to samo mógł się dowiedzieć od każdego ze związkowych, nie jednak nie mówił, bo podejrzenie nie miało w tej chwili przystępu do jego serca — on był zdolnym tylko kochać z zapalem lub nienawidzić.

Nie długo też zegar stojący w rogu izby na szafie silnie zadzwonił. Na ten dźwięk, mężczyźni zadrżeli, niewiasty pobladły jak gdyby miał uderzyć godzinę śmierci. I miczeli, a kukawka siedząca na wierzchu zegaru wyśpiewywała uderzania, a za każdą razą na twarzach czworga przytomnych co raz większa boleść duszy wybijała, zdawało się, że zrywali nic po nici szczęścia, kiedy zegar bić przestał, Strawiński z Łukaskim porwali się z miejsc, niby na głos trąby w czasie boju, a energia niewiast w głośnie łkanie się rozlała. Oni bledzi na licach i ze łzami w oczach uściskali w milczeniu ich drżące dłonie i skronia, i wyszli ze dworku może już na wieki.

9.

W dniu drugim Listopada silny wiatr północny dał, niosąc tumany drobnego śniegu, tak, iż prawie świata widać nie było. Słońce zbliżające się ku zachodowi, na chwilę wejrzało krwawe, jakby zagniewane z po za kłębu czarnych chmur, a pogroziwszy ziemi na jutro nową zamięcią i wiatrem, znów w ciemnościach utonęło. Mimo takiej słoty, kilkanaście wozów naładowanych słomą i sianem, stanęło przy rogatce Warszawy o zmroku. Woźnice przemokli i zniszczeni drogą, że aż żał patrzeć, a jednak w oczach i na ustach u nich wesołość. Przy wozach jechał znów konno Strawiński, w czamarze szlacheckiej z potężnymi wąsami, a ujrawszy komendanta w oknie, pozdrowił go niskim ukłonem. Moskal przez szyby skinął ręką na znak, że może jechać, niebawem wysłał sierżanta z rozkazem do wart przepuszczenia natychmiast wszystkich. Pojechali sobie tedy spokojnie do miasta, nie zatrzymując się, aż przed klasztorem Dominikańskim. Tu na progu stajni zdawał się oczekiwać na nich ojciec Idzi; bo kiedy ich ujrzał, splótł dłonie, zrenicę utkwil w niebo, a usta poruszały się, jakby modlitwą dziękczynienia. A potem ze skrzętnością młodzieńczą, roztwierał wrota i umieszczał przybyłych. Nakoniec każdego z przytomnych uściśnął serdecznym pocałunkiem, i pogada-

wszy troszkę, przeżegnał krzyżem świętym, i oddalił się, aby dłuższem bawieniem nie ściągnąć uwagi innych mieszkańców klasztoru. Pozostali zawarli wrota i usadowili się w kącie po za wozami ustawionemi w półkole. Na ich licach świeżość i młodość, a jeżeli którego gładkie czoło obsiadły zmarszczki, nie przyemiły jednak jego czystości. Widać, że choć wywołane zawczasem, to nie z przesytu życia, lecz niewygodami wojny; bo twarz nie jednego nacechowana już blizną. Proste chłopskie sukmany i czapki były ich ubraniem, a całą bronią koziki wiszące na rymkach u pasa, jednak popatrzywszy na nich, odrazu każdy odgadł, że to żołnierze walczący za wolność, tyle tam jaśniało odwagi, i miłości swobody.

Słoma rozesłana na podłodze stajni, była razem ich postaniem i siedzeniem, na którym rozłożyli wierzchość z chleba i pieczonego mięsa. Strawiński wydobyl z woza spory sądeczek, utoczył z niego wina w cynowy kubek, i spełnił go za pomyślność dostawienia jutro w ręce Pułaskiemu ukoronowanego zdrajcy, i kubek z tém samém życzeniem kolejno z rąk do rąk przechodził. Przy posiłku i winie, wnet się znalazła i wesoła pogadanka, bo ludzie nawykli do niebezpieczeństw, tak obojętnie czekają godziny śmierci, jakby chwili udania się na codzienny spoczynek. W godzinę może silne kołatanie we wrota, przerwało ich rozmowę. Każdy sięgnął po broń ukrytą we wozach, a Strawiński w jedną rękę pochwycił pistolet, a w drugą latarkę i poszedł otwierać. Podniósł świecę ku twarzy stojącego, i poznał Kuźmę w ubiorze flisa. Przybyły pozdrowił siedzących i zajął wśród nich miejsce. Lecz jego przybycie nie wywołało radości, ale owszem skwasilo lubą wesołość. Małe światelko latarki pomnażało bladłość jego twarzy, a wyrzucone wargi zmuszał do kłamanego uśmiechu, kiedy nad czołem wisiał widoczny niespokój.

— Panie Kuźmo, rzekł Strawiński — cóż waszmość taki ponury, czy przynosicie złe wieści?

Zagadnięty lekko zadrgnął; — spojrzął jednak śmiało ku mówiącemu, i odparł z głośnym śmiechem.

— O patrzcie! wszak zmokłem jak prawdziwy flis, ale dajcie no wina, a rozgrzeje ciało, to się i umysł rozweseli.

Strawiński podał węgrzyna mówiąc: spełniliśmy wszyscy pomyślność szczęśliwego uprowadzenia jutro ukoronowanego zdrajcy.

Kuźma odebrawszy kubek powtórzył donośnym, jednak jakimś drżącym głosem słowa Strawińskiego. Lecz któż miał zważać na to? w czyjeż serce mógł wstąpić cień najmniejszej niewiary, kiedy wszystkich ożywiał równy zapach, i jeden w drugim miłował brata

poświęcającego się wspólnej sprawie. Wnet też wesołość odżyła na pewność, że Kuźma nie jest posłannikiem złej wieści.

Teraz co raz częściej stukano we wrota, a za każdą razą przybywał jeden ze sprzysiężonych, we flisa lub chłopu ubraniu. Nim świtać poczęło, zebrali się wszyscy trzydziestu.

(Dokończenie nastąpi.)

O Stowarzyszeniach.

ARTYKUŁ II.

Towarzystwo naukowej pomocy, towarzystwo szkół elementarnych i domy ochron, biorą w opiekę całe przysze pokolenie z pośród masy ludu, nie posiadającego ani moralnych ani materialnych środków, do poznawania i wykształcania pojawiających się wśród dzieci swoich zdolności, i doprowadzają to pokolenie, oddając je sobie, że tak powiem, z rąk do rąk, od lat ukończonego niemowlęstwa, aż do czasu ukończonego teoretycznego wykształcenia, z kąd bezpośrednio przechodzi ono w praktykę życia, we wielkie koło społeczne narodu, którego ma podnieść oświatę, przemysł, i bogactwo.

Już z tej jedności celu, wypada potrzeba jedności kierunku. Atoli zachodzi pytanie, czyli ta jedność ma być unią czy federacją, to jest czyli trzy te Towarzystwa mają się zamienić na jedno, czy też zostając w osobnych ustawach i urządzeniach mają się tylko porozumiewać z sobą.

Nie ulega wątpliwości, że każde działanie, im więcej jest skoncentrowane, tym jest sprężystsze, że zatem jedno Towarzystwo pod jedną Dyрекcyą, silniej i korzystniej działać może w sprawie oświaty ludowej, niżeli trzy różne Towarzystwa, pod trzema różnymi Dyрекcyami, będące tylko z sobą w porozumieniu mniej więcej różnym.

Główne uwagi, któreby przeciw takiej koncentracji Towarzystw uczynić można, byłyby może następujące:

1) Ze względu na fundusze. — Gdy się trzy Dyрекcyje o nie starają, większa nierównie ilość ich wpłynie, niżeli gdy to tylko jednej Dyрекcyi pozostawionem będzie. Jedność towarzystwa, musiałaby mieć jedność kassy, i jedność członków. Trudno jednak przypuścić, aby członkowie składający dziś najliczniejsze Towarzystwo naukowej pomocy, powiększyli swoje składki dla tego, że powiększa się jego zakres działań. Nowych zaś członków trudniej po-

zyskać z większą składką na jedno skoncentrowane towarzystwo, niżeli z mniejszą składką na trzy pojedyncze towarzystwa. Wynikałoby ztąd, że T. N. P. zmuszoneby było rozdzielić dzisiejsze fundusze swoje, i zmniejszyłoby tym sposobem zakres swego działania, który jest najważniejszy, bo bezpośrednio już młodziź do życia publicznego przeprowadzający.

2) Ze względu na administracyą. — Wewnętrzne urządzenie i czynności każdego z trzech towarzystw są zupełnie różne, tak, iżby się Dyрекcyja skoncentrowanego towarzystwa i tak konieczne na trzy osobne wydziały podzielić musiała, któreby nie zawiśle od siebie działały.

3) Ze względu na całość. — Gdyby jakkolwiek zewnętrzne lub wewnętrzne przyczyny spowodowały rozwiązanie jednego z trzech towarzystw, zawszeby jeszcze inne dwa istniały, kiedy rozwiązanie skoncentrowanego wszystkim trzem upadek przynosi.

Rozbierając wartość tych zarzutów, ważność ich znika, a przynajmniej innym względem ustępuje. A na-przód sprawa funduszowa rzeczywiście w prowincyi naszej, na wielostronne składki wystawionej, jest punktem bardzo krytycznym. Zwykle to są zawsze te same osoby, do których się po datki rozmaitego rodzaju udawamy, inni zaś albo z niemożności, albo z obojętności zupełnie są niedostępni. Atoli ulepszenie takiego stanu rzeczy mnogość pojedynczych towarzystw nie wywoła, ale raczej go pogorszy, bo nawet tych znudzi, którzy dotąd byli chętnymi. Każdy woli jednoroczną jaką ofiarą opłacić się wszystkim sprawom publicznym, niżeli na pojedyncze różne datki ciągle być wystawianym. Choć więc prawdą jest, że kto już składkuje do Towarzystwa N. P., z trudnością składkę swoją powiększy, to mylnem jest twierdzenie, aby nie miało nowych przybywać członków, gdy Towarzystwo rośnie w zakres działań i w znaczenie. I owszem Towarzystwo takie nabiera siły przez opinię publiczną, przez rzeczywiste widoczne działań swoich błogie owoce, i tą siłą opinii tych nawet do uczestnictwa wciąga, którzy choć niechętni wydać grosz na dobro publiczne, nie mają tyle odwagi wręcz to wypowiedzieć. Dodajmy do tego, że większa część składających rzadko bez napomnienia, a przynajmniej bez przypomnienia składki wnosi; jeżeli więc z trzech stron będą monitowani i exekwowani, dobrowolne ofiary stać się im muszą ciężarem, którego się za lada powodem pozbyć będą pragnęli.

Inny jeszcze rodzaj funduszy składa się z dochodów nadzwyczajnych, jako to: z koncertów, teatrów, bali, loteryi i t. p. Jeżeli się o takowe wpływy starać będą trzy różne Dyрекcyje, nietylko że się nie obej-

dzie bez nieprzyjemnych kolidacji osobistych zabiegów, jak wszędzie, gdzie o pieniądze chodzi, ale i publiczność i artyści wielością podobnych przedsięwzięć znudzą się i ostrygną na koniec.

Zarzut wzięty ze zagrożenia Towarzystwu przez jakiegokolwiek wypadki, jest najmniejszej wartości. Wypadki te mogą być albo wewnętrzne, gdy członkowie wykresłać się będą z Towarzystwa, albo zewnętrzne, gdyby z rozkazu władzy krajowej rozwiązane zostały. Ostatniego nie ma się obawiać potrzeby. Cele dobroczynne władze krajowe póty popierać będą, póki Towarzystwa zachowają się w obrębach ustawami przez Rząd zatwierdzonemi przepisanych. Aby zaś nie przekroczyć ustaw, czuwać będą Dyrekcyje, o ważności interesu Towarzystwa przekonane, i przejęte tą ważnością nie będą chciały przez lekkomyślne działania dla partykularnych interesów, narażać całości na upadek. Zależy tylko na tem, aby do Dyrekcyi obronne bywały osoby, nietylko z poświęcenia, ale i z rozsądku znane, ku czemu tem większe jest podobieństwo, im większa będzie liczba członków składających i obierających.

Dobrowolne zaś rozwiązanie się Towarzystwa, przez niechęć do składek, jak już w artykule pierwszym się powiedziało, jest przypuszczeniem niepodobnem. Na 100 członków może najwięcej 10 odejść po pięcioletniem zobowiązaniu się, ale natomiast tuzzyć trzeba, że w ciągu pięciu lat drugie tyle przybędzie. Rozpaczaby prawdziwie o nas trzeba, gdyby pięcioletnie istnienie Towarzystwa, było tylko sztuczne, siłą wpływu kilku osób, opinią i t. p., a nie przekonaniem wymuszone, gdyby nie zakorzeniło interesu dla dobra publicznego, i nie przekonało większej części światlejszych, że pracować w interesie sprawy ogólnej, jest to najchlubniej pracować dla siebie. Jak w religii czasy pogaństwa nie dadzą się powrócić, tak i u nas, sądzę, nie wrócą się czasy socjalnego pogaństwa, gdzieśmy tylko własnemu cielsku i własnym partykularnym interesom ofiary czynili, z barbarzyńska głusi na dobro ogółu, na dobro współrodaków naszych, na czem rzetelne polega obywatelstwo i rzetelny patriotyzm.

Pozostaje trzeci i najważniejszy wedle nas zarzut przeciw koncentracji Towarzystw, to jest różność zupełna działań i środków każdego z osobna. Rzeczywiście domy ochrony w zarządzie i organizacji swojej zupełnie różne są od dwóch innych Towarzystw, między którymi większe już jest zbliżenie. U dzieci od 4—7 roku nie może być mowy o nauczaniu, lecz głównie o wychowaniu. Jest to wiek opieki matek nad dziećmi, a nie opieki ojców. Domy ochrony zatem

przez kobiety dozorowane być powinny, mężczyźni zostają tylko w stosunku jakby ojców rodziny, reprezentujący ich powagę i mający obowiązek starunku o ich utrzymanie. Jeżeli zatem w domach ochrony czas także i nauką się zapełnia, jest to rzecz tylko dodatkowa, a na pierwszym miejscu kładzie się utrzymanie zdrowia, rozwijanie sił fizycznych i utrzymanie wesołości umysłu dziatwy, w domu bieda i nędza przyniesionej. Inszy cel ma Towarzystwo elementarne i naukowe. Pierwsze ma na celu dać środki biednym uczniom, aby mogli nabrać elementarnych wiadomości, a zatem zaopatrzyć ich gdzie trzeba w ubiór, książki. Dalszym jego celem będzie szerzyć literaturę elementarną, przez druki i upowszechnienie książek dla ludu. Drugie już wykształca młodzież w wyższych naukowych instytucjach do wyższych zawodów. W obydwóch zatem towarzystwach nauka, oświata, głównym celem, i zatrudnienie męskie. Ojcowie niejako odbierają tu synów swoich z rąk i opieki matek, ażeby ich sposobić w rzeczach męskich, i przysposobić na użytecznych członków towarzystwa.

Druga główna różnica domów ochrony, leży w tem, że domy ochrony nie robią wyboru z dzieci, ale każde przyjmują, skoro udowodnione jest ubóstwo rodziców i niemożność ich oddania się wychowaniu dzieci. O zdolnościach nie może tu być jeszcze mowy. Towarzystwo elementarne także jeszcze nie robi wyboru pod względem zdolności, choć już więcej na ich rozwijanie się w ciągu nauki uważać powinno. Towarzystwo naukowe pomocy już tylko samą uzdolnioną młodzież popiera. Bezpośrednio zatem Towarzystwo N. P., nie na Domach ochrony, ale na Towarzystwie elementarnem opiera się, z niego, że tak powiem, wybiera dopiero kadry swoje.

Domy ochrony na koniec z natury swojej nie potrzebują takiej organizacji przez Komiteta powiatowe, bez jakiej inne dwa Towarzystwa obejść się nie mogą, i zostawione być mogą niezawisłe od siebie, gdziekolwiek się pojawiają, byle dom ochrony np. w Poznaniu rok rocznie ogłaszał przez pisma publiczne urządzenia, jakie się najpraktyczniej pokazały, i tym sposobem stał się matrycą wszystkich innych sal ochronowych.

Z tych tedy powodów sądziłbym, iżby należało domy ochrony wyłączyć z unii Towarzystw, dozór i składki tak w gotowiznie, jak w rzeczach i żywności, zostawić starunkowi samych kobiet, i uczynić je Towarzystwem czysto kobiecym, z przydaniem do Dyrekcyi mężczyzn, ogólnymi interesami zawiadujących. Dwa inne zaś Towarzystwa, jako jednorodne, w jedno połączyć się powinny, czyli T. N. P. rozwiększyć po-

winno działanie swoje, i objąć w opiekę elementarne wychowanie ludu; w téj myśli ustawy swoje zmienić, ku czemu na nadchodzącem pierwszém walnem zebraniu na Śty Jan najlepsza nastęrcza się pora.

Tak urządzone jedno Tow. N. P., wyznaczyłoby może roczną sumę na wsparcie domu ochrony w Poznaniu, pod warunkiem, że deputować od siebie będzie dwóch członków, jednego z Dyrekcji, drugiego z Komitetu dla szkół elementarnych, na posiedzenia Dyrekcji domu ochron z prawem głosowania, aby tym organem wprowadzić w kierunek wszystkich tych Towarzystw jedność myśli i porozumienia się, a gdzie trzeba udzielać sobie wzajemnie środków ku pomocy.

Wspomnienia z podróży

Dra T. TRIPPLINA.

Część pierwsza. — Danija i Norwegija.

Poznań, w drukarni W. Stefańskiego, 1844.

W 8ce, stron. 226.

Ze sercem braterskiem witamy ten piękny kwiatek, uszczkniony przez rodaka dla dziedziny wyrabiającej się myśli narodowej. Wspomnienia z podróży Tripplina wystawiają nam obrazy wiernie zdjęte z rzeczywistości, opromienione zawsze myślą żywą i dowcipną, niekiedy poetyczną, a nierzadko nawet, głęboką. Pióro wprawne i zaprawdę już nie poczynającego, rzutami śmiałemi, odkreśla nam w całości wrażenia, jakie na duszy podróżującego czyniły zajęcia, charakter, wypadki, czyny, wreszcie fizyczny pozór krajów, które przedstawiały się w szybkim i przemijającym biegu, miotanemu burzami życia Polakowi. Wrażenia te są więc miarą stanowiska pisarza w świecie umysłowym, i przez to jedynem źródłem działalności pisma jego na czytelników.

Powszechności polskiej w podróżopisach niemożę chodzić o poznanie krajów zwiedzanych przez pisarza, niemożę chodzić o to, jakie spotkał charakter, jak pojmował ludy, które poznał; rozumiał to Tripplin i przedstawiając wrażenia swoje, przedstawia siebie — siebie samego. Ztąd powszechność czytająca znajduje prawdziwy pożytek w rozbieraniu jego „Wspomnień z podróży“ — bez pedantycznego wystawienia całości pojęć swoich, Tripplin, umie je podać i uprzyjemnić wczytanie się w nie różnaitością przedstawienia, tonem to wesołym, to poważnym, zresztą mnogością przedmiotów najróżnorodniejszych, które się przesuwają jak w czarnoksiężskiej latarni w jego Wspomnieniach. Teraz więc głównie chodzi o oznaczenie

stanowiska pojęć, jakie sobie wyrobił nasz autor — forma oddania ich przystępna, powabna, niezostawia wiele do życzenia. Stanowisko autora nie tyle nas zadowalnia. Właściwy Tripplinowi, ów duch lekkości francuzkiej, szybkie pojnowanie i przeprowadzenie prawdziwej myśli w stosunkach społecznych, strona praktyczna nader mocna — są bardzo pożądane w naszej literaturze. Węzyk ma je w wysokim stopniu, ale przeprowadza je poetyczniej niż Tripplin — Kraszewski ma ich bardzo mało, a zresztą w dowcipki i nijakość wrzucony, nie podać ci nigdzie głębszej myśli, i stara się brak ten, niczém niedający się nagrodzić, zastąpić trafnym rysem obyczajowym, zepsutym w téj chwili jaką płaskością à la Paweł Kock — Chodkowski więcej od Kraszewskiego poetyczny, nie ma wcale owęj lekkości francuzkiej — Grabowski ma tylko ekliwie obrzydłą opisowość i pod nią kryjący się, każdemu Polakowi nieznośny jad niemoralnych dążeń — Czajkowski, najwięcej ze wszystkich uzdolniony, miałby nad wszystkimi wyższość, gdyby nie obrażał każdego z czytelników swoich dążeniami, o jeden krok tylko różniąciami się od dążeń Grabowskiego Michała i Bejły. — W ubóstwie literatury podróżopisarskiej talent, lekkością i stroną praktyczną wyrobioną — ucharakteryzowany, jest dla nas pożądanym, ale od Tripplina mieliśmy prawo spodziewać się jeszcze czegoś więcej. Człowiek mający stopień naukowy, powinien być więcej naukową stroną swych Wspomnień wyrobić; — człowiek czasu dzisiejszego, powinien być więcej stosunki społeczne i polityczne badać, zle w społeczeństwie radykalnie pojąć i w każdej chwili wykazywać, że ono płynie z braku stanowiska ludowego, nie wyrobionego jeszcze w narodach. — Tego nie znajdujemy w Podróżach Tripplina. Ztąd choć się czytają przyjemnie, choć wiele mało znanych lub nieznanich szczegółów obejmują, nie mogą zająć wysokiego w literaturze naszej stanowiska. Niech autor zwróci uwagę na tę niedostateczność swych Wspomnień, a dalsze części będą tém lepsze. Wreszcie poczciwość i polskość, która się wszędzie przebija, obok lekkości francuzkiej, nigdy za dostateczną uważaną być nie może. W każdym uśmiechu autora powinien się ból głęboki przebiegać, smutek, czyniący nawet uśmiechnięcie ironicznem. — Goszczyński w tym względzie podał nam w Królu Zamczyska niedorównany dotąd wzór, a na który wszyscy zważaćby powinni.

Oddalony od ojczyzny przez czas długi, odwyknął Tripplin od władania śmiałego naszą mową, ale pisał feilletony do dzienników francuzkich i tém wyrobił się na pisarza dobrze i przyjemnie umięjącego

oddać swe myśli. Chętnie usterki językowe i stylistyczne wybaczymy Tripplinowi, ale wydawcy jego dziełka nie możemy wybaczyć, że nam pisownię i mowę zleci spadkowaniom kaleczy. Wszakże czas, by już nie pisano Dania, Norwegia, Francya, lecz Dania, Norwegija, Francya albo Francija, — drugi przypadek tych rzeczowników jest Danii, Norwegii, Francji lub Francji, a nie Danij, Norwegij itd., bo to jest drugi przypadek liczby mnogiej; podobnie nie należałoby pisać *q* w zakończeniach czwartego przypadku liczby pojedynczej rzeczowników i przymiotników żeńskich, np. zrywam różę, widzę żonę, poznaję kochaną, swoją siostrę, a nie zrywam różą, poznaję swoją kochaną siostrę itd. — Wydawca dziełka Dra Tripplina poszedł za nawykniem powszechnym w Wielkopolsce — w tém pobił. Nie należy wszczynać rozpraw językowych, dawno rozstrzygniętych z całą umiejętną ścisłością.

Oczekujemy dalszych części pracy Dra Tripplina, życząc, aby w nich strona naukowa, społeczna i polityczna były bardziej wyrobionemi, a wtenczas prawdziwie użytecznemi będą. Pan Tripplin okazał, że może pożytecznie pracować w piśmiennictwie ojczystem — niechże w pracy nie ustaje, ale pracując, niechaj pod wszelkim względem postępuje. Dał nam przyjemnie czytające się dziełko — oczekujemy od niego naukowego i myśl wyższą przeprowadzającego w następnych częściach.

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — W tych dniach wyszedł „Roku 1844.“ poszyt Vty i zawiera: 1) O poszanowaniu przeszłości; 2) Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem, przez S.; 3) Parafiańszczyzna, przez K. T.; 4) Kronika bibliograficzna, r. 1844.

Za najlepszy dowód panującego dotąd ciarlatanstwa w Anglii, ta może posłużyć okoliczność, iż Morrison od roku 1830. do 1843.; za stemple rządowe wyciskane na pudełkach, zawierających pigułki jego wynalazku, zapłacił 108,000 funt. szterlingów, (blisko jeden milion talarów).

W Anglii chcą postawić pomnik Rowland Hillowi, który zaprojektował zniesienie opłaty od listów.

M O D Y.

Paryż, dnia 17. Maja 1844.

Mieliśmy przed niedawnym czasem sposobność przypatrzenia się kilku pięknym sukniom; tak np. suknia z jedwabiu połyskującego naksztalt perłowej ma-

cicy, odznaczała się wyciętym stanikiem sznepkowym, orzuconą była wążkami paskami aksamitnymi i ukosami z tkaniny téj saméj, co suknia; — inna suknia z jedwabmuślinu w kolorze wiśniowym miała wielkie falbany, stanik fałdowany, obcisłe rękawy i długą przepaskę; — suknia pompadour na białém tle, bukietami róż posiana, w pasy zielone, ujęta z boku w bukiety liścia z zielonego aksamitu; stanik sznepkowy; u rękawów ustrój z liści aksamitnych; mantylla z téj saméj tkaniny co suknia; — suknia z tarlatanu, jedwabiem wiśniowym lekko haftowana, podwójna powłoka i długi do tego szal z indyjskiego kaszemiru; — suknia z fontażpekinu, z przodu otwarta, z dwoma rzędami koronek gładko przyszytymi, które i stanik otaczaia i wyglądają naksztalt kaneczou z rękawami; — suknia z różowego bareżu w bukiety kwiatów, ozdobiona trzema falbanami.

Warto wspomnieć tu o bardzo pięknej sukni, którą delicią przewano. Była zrobioną z indyjskiego muślinu; powłoka miała paski haftowane wstawione, z których téż cały stanik się składał, na nich znajdowały się pół girlandy z kwiatów naturalnych.

Co się tycze sukien na wyjście, wizyty, to wyłogi u staników z małym kołnierzem są nieodbitnie potrzebne; czasem przechodzą te wyłogi aż na powłokę, gdzie je ujmują pasamony lub coś podobnego. Rękawy u nich są obcisłe, ale tak wystrojone, że zdają się być ustrojem krótkich rękawów.

Chętnie używają tkanin w szerokie pasy, a na sukniach z takich tkanin osadzają szerokie falbany, nad któremi znajduje się wążka woda z wstążek; do mantyl z téj saméj tkaniny używa się podobnych szerokich garnirunków. Niektóre osadzają aksamitem w kolorze sukni lub długim wążkim pasamonem; oszywają np. suknię w pasy fioletkowe i brunatnym połysku, sześciu paskami aksamitnymi, z których pierwszy ciemnofioletkowy, ostatni jasno-lilijowy. Paski te aksamitne przechodzą na stanik i rękawy, jako téż niemi sznuruje się suknia jeżeli jest otwarta.

Naramiennice (bransoletki) tak są teraz konieczne jak mankiety, do ubiorów od niecheenia, jako téż na wzięcie uroczystsze.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut z kłapami wyłożonemi aż do dołu. Pantalony z jaspisowanego sukna.
2. Kapelusz krepowy z dużym obwodem. Suknia jedwabna z otwartym stanikiem. Mantylla z mieniącego jedwabiu.
3. Czepek zdobny wstążkami. Suknie ze szkockiego fulardu; mantylla z tarlatanu, koronkami orzucona i jedwabiem podszyta.